Rozmaitości

Dnia 11. Czerwca Nr 24. 1836 Roku.

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

VI.

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

Łatwo pojąć można, dla czego wystawa sztuk pięknych w Paryżu za każdym razem zajmuje prawie całą Paryżanów uwagę, dla czego dla niéj zapominają o innych dziennych nowinach, dla czego o niéj wszyscy mówią i w dziennikach piszą, jak o jakiéj ważnéj dla całego narodu sprawie. Dla wielu przyczyn nie może być ona obojętną nawet dla cudzoziemców, a wszystko przemawia do Francuzów, ażeby się nią nie przestawali zajmować. Sztukom pięknym winni większą może część swojéj sławy i swego ubyczajenia; w nich szukają jenijuszu narodu, w nich spodziéwają się widzieć i rzeczywiście widzą, jak w źwierciedle, swoje uczucia, swoje obyczaje; w nich odnawiają się upłynione dzieje narodowe, z nich mogą wnioskować o swojéj przyszłości. Jeźli w dawniéjszych czasach, kiedy serca ich miały inne przedmioty zajęcia, sztuki piękne nie były dla nich obojętne, jeźli od dawna artystów i dzieła ich mieli w poszanowaniu, mogąż teraz być zimnymi świadkami zbioru rozmaitych dzieł sztuki, które na wystawie publicznéj pokazują im żyjący rzeźbiarze, malarze i rysownicy, kiedyto dzisiaj prawie jedyny pokarm dla ich uczuć? Gdy wszelki innego rodzaju zapał w nich albo obumarł, albo jest zobojętniony, nie dziw, że całe uczucie ich ucieka się do sztuk pięknych, i tam przynajmniéj przedłużać chce swoje życie. Sztuki piękne były zawsze, jak nauki, ozdobą szczęśliwego, pociechą nieszczęśliwego życia narodów, dziś we Francyi jednają sobie nową zasługę, stając się schronieniem dla uczuć, wypędzonych ze świątyń, z mownic i z widowni politycznego życia. Śród zepsucia i samolubstwa, śród niepewnych rachub ludzkiego rozumu, śród tłumiącego głos serca zgiełku życia zewnętrznego, za szczęśliwą uważać się powinna ta stolica cywilizacyi świata, że w niéj ostała się jeszcze kraina, w któréj panuje uczucie... Paryżanin, wierzący prawie wyłącznie w rozum ludzki, biegnie jednak na wystawę, gdzie rozum jego nie miałby nic do czynienia, gdyby mu nie dopomagało uczucie, które wszędzie indziéj usiłuje w sobie stłumić. W tém jego, z resztą życia sprzeczném postępowaniu, objawia się jego instynkt, jego potrzeba niezbędna, jego lepsza i szlachetniéjsza połowa... Tak przynajmniéj sądziłem, widząc tłumy ludzi rozmaitego stanu, zmierzających codziennie z najodleglejszych części Paryża do Luwru, dla oglądania wystawionych tam na widok publiczny nowych rzeźb i obrazów; a gdy nie widzę w tém mieście żadnego innego punktu, do któregoby tak jednomyślnie i tak skwapliwie te tłumy się cisnęły; więc jeszcze jest, myślałem, jeden przybytek, w którego przedsionku wszyscy zostawiają swoje zawiści i poróżnienia, do którego wszyscy zbliżają się ze czcią i uszanowaniem, który dla wszystkich ma znaczenie wyższe, nie zawisłe od zmiennych i ułomnych rzeczy ludzkich.

Ale może się mylę; może Paryżanin z innych pobudek na wystawę spieszy; może już nawet dla sztuk nie ma uczucia piękności, uczucia prawdy. Nie śmiém tego przypuszczać, ale słysząc, co wszyscy mówią, czytając, co wszystkie dzienniki piszą, widząc te tysiące ludzi i te tysiące dzieł sztuki, ledwie nie wypada wierzyć, że się mylę... Odkładam więc domysły na stronę i wolę być odgłosem zdań samych Francuzów, boć oni najlepiéj znają się

na sobie i najwłaściwiéj mogą o sobie sądzić: Podług krytyków francuzkich ani wystawa, ani artyści, ani ich dzieła, ani publiczność paryzka, nié ma nic spólnego z potrzebami wyższémi społeczności. Nie żadne uczucie, ale rachuba i zawsze rachuba zapełniła te salony i tę galeryję obrazami, rzeźbami i widzami. W tłumach tych, cisnących się na wystawę, widzą oni najprzód kilka tysięcy artystów, których dzieła albo są wystawione, albo zostały odrzucone. Tamci przypatrują się swoim robotom, uważają, jak są umieszczone, jakie sprawiają na innych widzach wrażenie; ci porównywują dzieła wystawione z własnémi, nie przyjętémi na wystawę i narzekają na niesprawiedliwość sędziów. Jedni i drudzy uważają wystawę za środek zrobienia sobie sławy, a sławę za środek robienia majątku ze sztuki. Obcy sztukom, a oddani handlowi pod rozmaitémi nazwiskami, jak tak zwani *episierzy*, czyli właściwiéj kramarze, fabrykanci, urzędnicy niżsi, całe szeregi żołnierzy, kucharki i piastunki z dziećmi, idą na wystawę, jak na widowisko, za które nie trzeba płacić, a na którém dowoli przypatrzyć się mogą i obrazom, i rzeźbom, i rysunkom, i publiczności, i jedynéj w świecie galeryi.*) Swiat, tak zwany piękny i ludzie bogatsi, szlachta dawniéjsza i teraźniéjsza, przyjeżdża na wystawę i miesza się z ludem dla rozerwania się po innych zabawach, dla zabicia czasu, albo dla zobaczenia swoich portretów. Pozostaje mała liczba, ceniących sztuki dla nich samych, pokolenie młode, nie owionione jeszcze duchem wieku i kilkanaście tysięcy cudzoziemców, którzy muszą widzieć wystawę, jako rzecz, nie tylko ciekawą, ale także jako wyobrazicielkę sztuk pięknych we Francyi i może w Europie, bo Paryż jest Francyją, a w Paryżu, lubo mu świat wiele ma do wyrzucenia, jednoczy się często wszystko, co Europa ma w sztukach najsławniéjszego. — Samę wystawę sądzą krytycy paryzcy jeszcze surowiéj. Rzecz dziwna, we wszystkiém inném samochwalcy, ganią i prawie z błotem mieszają swoje sztuki i swoich artystów, a publiczności paryzkiéj odmawiają wszelkiego usposobienia do ocenienia wystawy. Jak gdyby się zmówiły i sprzysięgły przeciw swojéj wystawie, jak gdyby zamartwić chciały swoich artystów, dzienniki paryzkie chórem jednogłośnym, krzyczą na dzieła wyobraźni i uczucia, które dzisiaj więcéj niż kiedy bądź potrzebują zachęcania i pobłażania. Gdyby chciały być sprawiedliwe nie to powinnoby ich oburzać, że tyle dzieł miernych występuje na widok publiczny, ale to mogłoby ich zadziwiać, że jeszcze tu i ówdzie zjawia się talent, nie podległy wpływowi swojego, zimnego, samolubnego i w przesileniu, dla cywilizacyi niebezpieczném, znajdującego się wieku. Wymagają w dziełach sztuki natchnienia, a zapominają, że cała społeczność uważa uczucia za rzecz podrzędną; zimne im się wydają obrazy religijne, a na to nie baczą, że nié ma wiary; narzekają, że szkoła francuzka upada, a wiedzą, że przeszłość jest w poniewierce, dziwią się, że młodzi artyści lekce ważą dawne wzory, a nie wiedzą, że to samo dzieje się w ich literaturze i zdaniach społeczeńskich.

Każda epoka ma swoje piętno znamienne, ktore w życiu narodu odbija się nie pojedyńczo, ale wszechstronnie, jako wynikłość naturalna i konieczna. To, co dzisiejszą Francyję znamionuje, jest, iż się w niéj wszystko dawne rozprzęgło, iż oziębły uczucia dawniéj gorące, iż obumarły dawne pomysły i wyobrażenia; ale że w narodach odzywa się zawsze potrzeba życia wyższego, więc i Francyja widzi, że się bez niego nie może obejść. Powstają zatém w niéj nieznacznie nowe pomysły, nowe wyobrażenia, nowe uczucia. Wszakże to wszystko dopiéro w zarodzie, tak, iż nowy utwor, ani jest jeszcze ściśle oznaczony, ani jest dosyć silny do obejścia się bez opieki zgrzybiałego starca, od któréj wszelako radby się uwolnić, a która znowu jak najdłużéj przy władzy swojéj chciałaby się utrzymać. Ztąd pochodzi, że siły słabe zgrzybiałego wieku pasują się z siłami nieudolnémi niemowlęcia. Dwa wieki dziecinne są z sobą w walce. Widok taki możesz być bardzo zajmującym? Natężenia obustronne bez sił, bez mocnéj woli, bez zapału, więcéj bolesny sprawiają widok, niż obudzają zadziwienie... Jeźli walka ta w niczém nie może się odznaczyć, tym mniéj spodziewać się można od zgody dwóch sprzeczności; tamtéj wypadek jest przynajmniéj niewątpliwy, bo siły dziecinne wzrosną, a starość pójdzie do grobu, gdy tymczasem z połączenia nienaturalnego, same

*) Część pałacu Luwr obrócona jest na wystawę; obrazy mieszczą się w dwóch salach i galeryi 222 sążni długiej, a 5 sążni szérokiéj. Rzeźby i rysunki umieszczone w dwóch innych salach.

tylko potwory mogą się urodzić. Są przecież ludzie śmiali, a raczej zuchwali, którzy ze zgody dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, wielkie wyprowadzać chcą dzieła, ale rzeczywiście tylko na potwory siły swoje marnują. Tamto pasowanie się dwóch wieków, to usiłowanie pogodzenia i połączenia ich, przebija się w literaturze i w życiu Francuzów, tak publiczném, jak prywatném. Nie zbywałoby na przykładach. Nic łatwiéjszego jak rozgatunkować dzisiejszych pisarzy, dzisiejsze dzienniki, dzisiejsze opinije Francyi, na te dwa główne rozdziały. A każdy z tych rozdziałów ileż ma znowu działów, poddziałów i paragrafów! Zdrobniałość ludzi, widoków i działań, idzie tu prawie w nieskończoność. Słowem, jestto wieża babilońska, mieszająca myśli, jak starodawna pomieszała języki; jestto odmęt, z którego się wykłuwa z trudnością wszakże nowy świat ludzki... I kiedy we wszystkiém innèm takie jest znamię Francyi, same sztuki miałyżby tylko torować sobie inną porządkowi temu obcą drogę? Muszą i one podzielać los dzisiejszéj społeczności. Dla tego też na wystawie tegorocznéj prawdziwy jest chaos. Oprócz zabytku dawnych szkół: greckiéj, rzymskiéj, włoskiéj pod rozmaitémi nazwiskami, francuzkiéj, widać na téj wystawie szkołę niemiecką, którą niektórzy nazywają religijną, szkołę wspomnień historycznych, szkołę narodową, od któréj krytycy wymagają wyrazu dążności wieku, nakoniec szkołę romantyczną, któréj uczniowie nié mają żadnego wzoru, ale sami chcą być wzorami, któréj dzieła tak są rozmaite, jak liczne pomysły i wyobrażenia jéj zwolenników. Artyści romantyczni, jestto ruchawka nie mająca ani chorągwi, ani jednostajnego munduru, ani porządnego szyku, ani nawykła do posłuszeństwa; ale mężna, śmiała, gardząca niebezpieczeństwy, często rozpraszana, ale znowu się gromadząca i czasem zwycięzka. Onito najwięcéj zapełnili dzisiejszą wystawę miernémi dziełami, ale też pomiędzy nimi zjawili się prawdziwi artyści, zostawiający za sobą dawnych mistrzów szkoły francuzkiéj. Szkoła romantyczna, lubo się najwięcéj przyczynia do panującego dziś w sztukach francuzkich odmętu, ma jednak tę zasługę, że ośmieliła wiele imaginacyi, i że nadała szkole francuzkiéj wielką rozmaitość. Ona buntując się przeciw dawnym przepisom, sprawiła wprawdzie w sztukach wiele anarchii, napsuła nie mało krwié zasłużonym mistrzom, ale zarazem posunęła sztuki naprzód, tak, że obrazy, które przed kilką laty były wieńczone, dzisiaj należą do drugiego rzędu. Skruszyła jarzmo akademii, i wlała w artystów ducha niepodległości. Przez liczne błędy przechodząc, postępuje jednak, i tém jest dumna, że ma przyszłość przed sobą, gdy tymczasem zieloność dawnych wawrzynów coraz bardziéj blednie i znika... Ale i szkołę romantyczną owionął, jak wszystkie inne, duch czasu; zarzucają jéj powszechnie, że pracuje nie dla sławy, nie dla sztuki, ale dla pieniędzy; że nié ma cierpliwości czekać na wykończenie, pracować usilnie, przejmować się żywo wybranym przedmiotem. Idzie jéj o ilość, nie o jakość. Okazuje wiele zręczności mechanicznéj, robi wiele hałasu kolorami, ale zaniedbuje pomysły i wybiéra często przedmioty płaskie. Zwolennicy téj szkoły i w ogólności wszyscy dzisiejsi malarze i rzeźbiarze, odpowiadają na te zarzuty, że się muszą stosować do dzisiejszéj społeczności, do życzeń osób, dla których pracują, które im płacą... I rzeczywiście dziwić się trzeba, iż ceny dzieł dzisiejszych mistrzów nie znajdują się jeszcze w taryfach towarów korzennych, tak wiele robi obstalunków obrazów panująca dziś klasa mieszczan, i tak bardzo się o nie targuje. Dawna szlachta ma swoje galeryje, czyto z obrazami swoich przodków, czy z dziełami dawnych mistrzów, którym hojnie wynagradzała pracę i tylko kiedy niekiedy pomnaża swoje zbiory sztuki. Dzisiejsza szlachta, czyli *la bourgeoisie*, dopiéro urządza i przyozdabia swoje salony; przyzwyczajona do zarabiania w handlu, chce także i od artystów jak najtaniej kupować, a nie bardzo się znając na sztuce, kupuje mierne, aby tylko tanie dzieła. Jak księgarzowi trudno dziś sprzedać kosztowne dzieło, tak i artysta długo, a czasem nadaremnie czekać musi nabywcy na obraz, nad którym pracował może lat kilka, i jak księgarze wzięli się na sposoby skuteczne, sprzedając zeszytami taniemi swoje wydania, tak i artyści więcéj zyskują robiąc obrazki, niż gdyby tworzyli kosztowne obrazy. Nabywcy nie wiele na tém zyskali, bo kupują często, choć tanio, ale sztuki wiele straciły na takiém podejściu, bo i dzieła zdrobniały i artysta zamienił się na handlarza.

Nie jestto żadna satyra, ani żadne narzekanie na stan obecny, ale wierna rzeczywistość. Nie przekładam dla tego nad wiek dziewiętnasty wieku Ludwika XIV. i jego dworzan, chociaż wiém, że hojniéj przedtém wynagradzano artystów, i może lepiéj niż dzisiaj znano się na sztukach. Chcę tylko powiedzieć, że artyści dostali się dziś pod opiekę za nadto oszczędną, i pod sąd bardzo niepewny. Kiedy nie dawno postanowiono sufit izby deputowanych malowidiami przyozdobić, chciano zrazu powierzyć tę pracę znakomitemu jakiemu artyście, i zapytano pana Ingres, za jaką summę podjąłby się wykonać dzieło godne świątyni praw. Artysta ten żądał 80,000 franków. Komisyja izby uważała taki wydatek za rozrzutność i radziła poświęcić na ten cel tylko 10,000 franków. Jakoż izba zgodziła się na tę summę, za którą towarzystwo miernych malarzy obstalunek zobowiązało się wykonać. Izba była w tym razie wiernym wyobrazicielem swoich wyborców, swojego wieku.

Tego samego systematu trzyma się dzisiejszy król Francuzów; nie można zaprzeczyć, iżby z dochodów, na utrzymanie dworu przeznaczonych, znacznych summ dla sztuk nie poświęcał, ale widocznie za wiele obrazów kupnjo, aby przez jego hojność sztuki postęp mogły uczynić. Na dzisiejszéj wystawie jest kilkadziesiąt obrazów, które dla założonego przez siebie muzeum wersalskiego obstalował, za jaką cenę nie wiadomo, ale to pewna, że lubo piérwszych malarzy do tego użył, szczodrze nie musiał ich wynagrodzić, bo roboty ich zbyt dowodzą, że to są prawie rzemieślnicze obstalunki. Właściwie mówiąc, hojność jego nie wynagrodzi artystom straty, którą przez wykonanie tych dzieł na sławie swojéj ponieśli, gdyż prawie wszystkie nie wyrównywają poprzednim dziełom tego samego pędzla, wykonanym śród innych okoliczności i może bez obstalunku. Nie wiém, czy kto u Verneta obstałował był obraz księcia Józefa, rzucającego się w rzékę, ale sądzę, że w nim, lubo to dzieło nie wiele zajmuje miejsca, więcéj jest uczucia i natchnienia, niż w ogromnych obrazach, które wykonał z obstalunku Ludwika Filipa. Polecono mu zrobić kilka sławnych bitew, a on zrobił kilka kolosalnych portretów Napoleona, otoczonego sztabem, i gdyby nie trupy tu i ówdzie porozrzucane, kłęby dymu tu i owdzie wybuchające, aniby się domyślać można, że to bitwy; a gdyby nie katalog obrazów, który przedmioty ich objaśnia, bitwy te pozostałyby na wieczne czasy do odgadnienia. I tak, z bitwy pod Jena wybrał Vernet chwilę, w któréj niecierpliwy żołniérz młody, podczas kiedy Napoleon przejéżdża obok szeregów, wyrywa się z okrzykiem: *»En avant!«* Napoleon zatrzymuje się i gromi rekruta: *Aż wygrasz trzydzieści bitew, dopiéro będziesz mi dawał rady.* W bitwie pod Wagram uprzytomnił Vernet Napoleona, kiedy uważał skutek bateryi ze stu dział złożonéj, a w bitwie pod Friedland, kiedy Oudinotowi daje rozkazy do ścigania nieprzyjaciela. Pominąwszy, że to nie są bitwy, ale sceny z życia Napoleona, że to nie historyja, ale sceny historyczne, jeszcze i ta w obrazach tych główna wada, że bez katalogu niktby nie zgadł, co one wystawiają. To samo się ściąga do bitwy pod Fontenoy, w któréj Vernet wystawił nie bój, ale marszałka saskiego, składającego Ludwikowi XV. wzięte na nieprzyjacielu chorągwie. Ten sam błąd uderza w pięknym obrazie Coudera, bitwa pod Lawfeldt, gdzie właściwie nié ma bitwy i gdzie tylko artysta przypomniéć chciał Ludwika XV., gdy pokazując wziętemu do niewoli jenerałowi angielskiemu palące się domy, w te słowa do niego przemówił: *Nié ma pokoju, któryby nie był lepszy od takiego zwycięztwa.* Wszystkie podobne anegdoty, lubo mogą być bardzo piękne w obrazach życia wodzów, czy królów, niknąć powinny w obrazach bitew przed główną sceną, przed męztwem, zapałem, tryumfem zwycięzcy, popłochem zwyciężonego, okropnością rozlicznych śmierci. Chwalą pod tym względem bitwy pod Fleurus, Landsberg i przejście przez Mincio, pędzla Boulangera. Są to prawdziwe bitwy. Artysta zdaje się być wodzem wójsk, w obrazach tych do boju prowadzonych, tak dobrze je uszykował, tak dzielnie uderza na nieprzyjaciela, tak wprawnie wykonywa obroty wojenne. Kiedy inni do wymalowania bitwy potrzebują tylko kilku rannych, kłębów dymu, grupy sztabu głownego i obszérnego widokręgu, on tak prawdziwie je kreśli, że stary inwalid mógłby poznać miejsce, w którém mu kula nogę urwała, gdy tymczasem pod obrazami innych bitew, wszystko jedno byłoby położyć nazwisko tego, lub owego miejsca. Prawie wszystkie obrazy przez króla do muzeum wersalskiego zamówione, wystawiają bitwy i we wszystkich niemal wady, o których nadmieniłem, wpadają w oczy nawet nie artystów. To także zadziwia, że król wielki nieprzyjaciel wojen, nazwany Napoleonem pokoju, tak bardzo sobie upodobał same bitwy. Oprócz kilkunastu, niezwyczajnéj wielkości obrazów, mających je wystawiać, zrobiono jeszcze na jego rachunek mnóstwo odpoczynków pochodowych, szturmów, zasadzek, utarczek, popisów wojskowych, nie licząc parad gwardyj narodowych, a we wszystkiém tém nié ma ani trajedyi, ani komedyi, a wiele jest podobieństwa do widowisk konnych Frankoniego, gdzie wystrojeni jenerałowie podobniéjsi są do komedyjantów, niż do bohatérów.

Ubieganie się artystów za obstalunkami wywiéra widocznie wpływ bardzo szkodliwy na sztukę, i zabiéra im na odwiédzanie biór i urzędników więcéj czasu, niż go poświęcają pracy w swoich warsztatach. Dla tego wielu sądzi, że nagrody,

wyznaczane za najlepsze dzieła w danych przedmiotach, obudziłyby spółubieganie talentów i odpowiedziałyby właściwiéj widokom podniesienia sztuki, niż przyjęty teraz system obstalunkowy.

(Dokończenie nastąpi.)

ZBÓJCY
W GÓRACH KALABRYJSKICH.
Powieść z dzieła Alex. Dumas: *Souvenirs d'Antony.*
(Ciąg dalszy.)

III.
MARYJA.

Nazajutrz z rana kazał pułkownik stanąć swoim ludziom pod bronią, a po skończonym przeglądzie, rzekł: »Który z was dziatki, jest pewien siebie, iż we trzech strzałach ze swojego sztućca o sto pięćdziesiąt kroków trzy razy w cel kulę poszle?« Trzech wystąpiło... »Wy? dobrze; zrobimy próbę!« Na skinienie pułkownika postawiono czarną butelkę na białéj skale, w oddaleniu wzmiankowaném. Jeden ze strzelców strzaskał wszystkie trzy butelki; każdy z dwóch drugich tylko jednę.

»Twoje nazwisko?« rzekł pułkownik do tego, który się tak pięknie popisał.

»Jestem André,« odpowiedział woltyżer oparty jedną ręką na sztućcu, a drugą muskając sobie z upodobaniem wąsy; »jestem André, który, co się tego tycze, gotów panu pułkownikowi służyć na każde zawołanie;« dodał z poruszeniem ramion, które temu tylko właściwe, kto przez lat dziesięć turnister nosił.

»Czy widzisz tego tam orla, który się nad nami w obłoku jak czarny punkt zawiesił, i nieustannie w koło tańca chodzi?«

Woltyżer zrobił dłonią daszek nad swémi oczyma i podniósł w górę głowę: »A prawda, jest! widzi się go, panie pułkowniku; przecież Bogu dzięki,« dodał z niejaką dumą, »człowiek nie jest ślepy.«

»Dobrze tedy,« rzekł pułkownik, »dam ci dziesięć luidorów, jeźli go ubijesz.«

»W tém oddaleniu?« rzekł woltyżer potrząsłszy głową.

»W tém lub w jakiémkolwiek.«

»W locie?«

»W locie lub siedzący, to twoją rzeczą. Jesteś na trzydzieści sześć dni od służby wolny; czatuj dzień i noc, a przynieś mi źwierzynę.«

»No, moja ty kukułko,« rzekł woltyżer do orła, jakby go ten król powietrza mógł słyszeć mówiącego; strzeżże się, strzeż, abym ci twego czubka nie uszkodził! to ci powiadam...« To rzekłszy wziął się z wszelką gorliwością prawego strzelca do przysposobienia; zaczął swój sztuciec oporządzać: założył nową skałkę, wyczyścił każdą cząstkę zamku, wytarł najsolenniéj wewnątrz lufę, i wybrał z dwunastu kul te tylko, które jéj otworowi najlepiéj odpowiadały; napełnił wódką manierkę, wziął pod ramię bochen chleba, i poprawiwszy sobie czako na bakier, odszedł, śpiewając tę zwrotkę:

Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie,
Gdy idzie w pole na polowanie!
Ilekroć puknie i kulą świśnie,
Tyle mu sława nad głową błyśnie.
Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie!

Co dowodziło, że woltyżer rad był ze swego stanu, i z tego wysokiego stopnia, na którym go porządek towarzystwa postawił.

Pułkownik usiadłszy pod namiotem, śledził go tak długo oczyma, aż dopóki mu nie zgasł w owym jodłowym lasku, przez który chropowata ścieżka pod górę biegła. Wziąwszy ztamtąd oczy, zwrócił je znowu na orła, który, jakto drapieżnych ptaków naturą, nieustannie w powietrzu koło opisywał, a teraz zaczął się zwolna ku szczytowi skały zbliżać. Razem, jak łyskawica, w dół się spuścił i zaraz znowu w górę się podniósł, ale już nie sam, tylko z zającem, z którym, jak balon z łódką, chylił się ku owéj stronie skały, gdzie sobie gniazdo był zbudował. Już go nie widać, już jest w swoim domu. W pięć minut poźniéj znowu się pokazał, odleciał w bok na kilkanaście sążni, i usiadł na kolcu skały, która się najwyżéj w niebo wystérczyła.

Ale zaledwie tylko swoje lotne wiosła do siebie przytulił, już i grom uderzył, już i król ptaków żyć przestał. W dziesięć minut poźniéj, niosąc z sobą źwierzynę, wyszedł André z lasku.

»Panie pułkowniku, tu oto jest ów napowietrzny indyk,« to mówiąc rzucił mu do nóg królewską źwierzynę. »Samiec bestyja; nie mało się on napolował, aż go ja spolowałem! Cóż robić, tak już na świecie.«

»A tu są owe dziesięć luidorów,« odpowiedział pułkownik.

»Dzięki! Czy za samicę nie byłaby taż sama cena, panie pułkowniku?« zapytał André.

»Podwójna,« odrzekł mu pułkownik.

»Podwójna? dwadzieścia?... Tam do kata! niech się pan pułkownik tém nie urazi, ale masz smak osobliwszy; prawdaćto, że o smaku nie ma co gadać: ten lubi tłuste, ów chude, a pan pułkownik, jak widzę, t w a r d e. Basta; dostawię mu i samicę; a jak pan pułkownik raczysz mi rozkazać obojga małżonków mchem wypchać, będziesz miał dwa prześliczne wzory drapieżności.«

»Słyszysz, dwadzieścia luidorów,« powtórzył pułkownik.

»Słyszę, słyszę,« rzekł André chowając pieniądze. »Człowiek przecież, dzięki Bogu, nie głuchy. Bądź pan pułkownik pewien, co André przyrzecze, tego i dotrzyma. Cyl, pal! już leży.« To mówiąc odszedł, śpiewając jeszcze głośniéj:

Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie!

Tą razą powrócił aż dnia drugiego; ale nie bez zwierzyny.

»A, toś mi walny,« rzekł pułkownik, i omal z radości w górę nie podskoczył, gdy przed nim André zwyciężko stanął.«

»Tò była Jmość, panie pułkowniku, więc ją w samo serce pocałowałem; proszę obaczyć;« rzekł André do pułkownika.

»Krwawy z ciebie Kupido,« rzekł mu pułkownik.

»Nie rozumiém co mówisz, panie pułkowniku, ale co prawda, to prawda.«

»Oto masz; weź swoję nagrodę, i odejdź; jużeś mi nie potrzebny; to mówiąc rzucił mu kieskę z luidorami, które André w powietrzu chwycił.

»No, pójdźcież do swoich braci, które za wami tęsknią, moje kochane rekruty; już ja was musztry nauczę. Czy nié ma pan pułkownik jeszcze co do rozkazania?« rzekł André wyciągnąwszy się po żołniérsku, i przyłożywszy rękę do głowy.

»Nié mam,« odrzekł pułkownik.

»Czy nie będzie trzeba, abym te bażanty oskubał? Może na rosół lub pieczenie...«

»Dziękuję ci za takowe przysmaki,« odrzekł z uśmiéchem pułkownik.

»Jak pan pułkownik rozkażesz,« to rzekłszy odszedł André krokiem podwójnym.

* * *

»Panie dowódzco,« rzekł jeden z bandytów nazajutrz za prowijantem wysłany; »zła nowina; nic nie znalazłem w gnieździe.«

»Czy już młode orły wyleciały,« zapytał spieszno Giacomo, a twarz jego pobladła.

»To nie; są jeszcze w gnieździe, ale zdaje się, że ojciec i matka nie dbają o nie, bo już im strawy nie donoszą; za wiele żarły.«

»Dobrze, już dobrze; trzeba żyć jak można; mamy jeszcze cokolwiek z dnia wczorajszego,« rzekł Giacomo zadumany.

Nazajutrz, równo ze świtem, poszedł Giacomo sam na szukanie żywności; kazał się zbójcom ująć w pół powrozem, i spuścić do gniazda, lecz nic tam nie zastał, prócz nieżywych, młodych orłów. Nie gardził niémi i wziął je z sobą.

»Niegodziwy Antonijo! on to nas zdradził, a nie kto inny;« rzekł pół głośno Giacomo.

Jeszcze tego samego dnia spożyli zbójcy młodego orła. Na drugi dzień połowę z drugiego. Na trzeci drugą połowę, i na tém koniec. Ponury smutek zamieszkał na twarzach bandytów.

Giacomo odszedł na ubocze i stanął na krawędzi skały; tam stojąc ujrzał pułkownika, trzymającego dalowid wymierzony w szczyt góry; przy nim stał doktor, któremu zdawał się opowiadać, jakim sposobem Giacomo swoim bandytom dostarczał żywności. Spostrzegł Giacoma pułkownik, bo zawiesił na końcu szpady białą chustkę, i zaczął nią w powietrzu wywijać. Giacomo spostrzegł to hasło i zrozumiał: chcą z nim w układy wchodzić. Przywołał Maryję, wziął od niéj białą przewitkę, zawiesił w kształt chorągwi na kiju, i zatknął na miejscu najwyższém. Skoro pułkownik ten znak rozejmu ujrzał, zaraz kazał stanąć pułkowi, i zapytał: ktoby chciał wyjść na ochotnika i zbójcom zanieść warunki. André wystąpił.

To poselstwo nie było bez niebezpieczeństwa; zbójcy kalabryjscy nie wiele się rozumią na prawach wojennych, i nie czynią sobie z tego żadnego zaszczytu dochować ich święcie; mogliby, będąc sami z pod praw wyjętymi, równie z pod praw wyjąć pana parlamentarza; uczuł tę prawdę sam André, bo prosił pułkownika, aby mu pozwolił kilka słów powiedzieć na osobności; otrzymawszy pozwolenie, i stanąwszy z pułkownikiem na uboczu, dobył owych trzydziestu luidorów, i dał je pułkownikowi, mówiąc:

»Panie pułkowniku, bądź łaskaw i weź.«

»I cóżto ma znaczyć?« rzekł pułkownik.

»To ma znaczyć,« odpowiedział André, »że gdyby mi te łotry tam, do których idę, na tamten świat paszport dali; nie miałbym ochoty robić ich dziedzicami mojego majątku; chciéj tedy panie pułkowniku, gdybym od nich nie powrócił, dwadzieścia posłać mojéj staréj matce, a dziesięć wręczyć markietance naszego pułku; zacnato i bardzo poczciwa dziéwczyna, karmi nas, opiera i naprawia *gratis*...«

»Dobrze, dobrze, poczciwy André; wypełnię wszystko, o co mię prosisz,« rzekł pułkownik, i dał mu zlecenie, jakie warunki ma zbójcom oświadczyć. Zapewniał życie wszystkim, prócz ich dowódzcy.

André puścił się w drogę i zaczął śmiało, jak to czyni wprawny myśliwy, wdziérać się do zbójców na skałę; spuszczał on się na swoję odwagę, którą miał w istocie, i na wymowę, którą, że ma, tak się mu zdawało. Stanąwszy na szczycie, był tylko na pięćdziesiąt kroków oddalony od straży zbójców, która na niego, skoro się pokazał, natychmiast w kalabryjskiém narzeczu zawołała: »Kto idzie?«

»Parlamentarz!« odrzekł André, i szedł swoją drogą. — »Kto idzie?« zawołała po raz drugi. — »Parlamentarz, czopie; albożeś nie słyszał?« odpowiedział André spokojnie, i szedł daléj. »Kto idzie?« zawołał bandyta po raz trzeci i przyłożył karabin do twarzy. — »To jakiś głusiec albo też głupiec, nie słyszy lub nie rozumié,« rzekł do siebie André, i co miał siły wygłaszał to słowo: p a r - l a - m e n - t a r z po jednéj zgłosce; no, jakże, czyś zrozumiał? *par-la-men-taro*; oto masz i po włosku, ty włoski diable.«

Że to zwłoszczone słowo nie sprawiło pożądanego skutku, było właśnie to dowodem, iż w téj saméj chwili, w któréj się André tak pięknie filologiją

zatrudniał, strzał zbójcy zrzucił mu w przepaść czako, które pan woltyżer rzemieniem podwiązać zaniedbał.

»O ty wilczy synu!« rzekł André, który znał historyją rzymską; »pięknieś wymierzył, nie ma co mówić; wszystkie listy od moich kochanek... całą moję kancelaryję diabli wzięli; ale i ja ciebie, przeklęty zbójco, także do nich poszlę!... Byłato groźba daremna, bo właśnie w téj chwili, gdy tych słów domawiał, zbójca zoczywszy, że parlamentarz żadnej broni przy sobie nie miał, poskoczył ku niemu, i chciał go sztyletem ugodzić, w nagrodę, że mu się kulą nie powiodło.

Widząc to André, chwycił machinalnie rękę w to miejsce, gdzie zawsze zwykł był oręż nosić; ale tam się tylko z próżną pochwą zdybał, a w tymże samym czasie już mu bandyta i sztyletem w oczy zaświécił. Nie stracił przecież André wcale przytomności, piorunem zchwycił za pięść zbójcę, i odparł cios zamierzony. Tu dopiero wszczęła się walka atletyczna, chodziło o to, kto był silniéjszy. Plac, na którym się ten popis odbywał, miał wiele wpływu do zwycięztwa; rzecz działa się na dość wązkiéj drodze, która z jednéj strony opierała się o skalistą, stromo w górę bieżącą ścianę, z drugiéj zaś biegła spadzisto w urwistość na dwa tysiące stóp głęboką. Ta wązka przestrzeń, pokryta ślizką, od słońca wygorzałą trawą, była nawet dla tych niebezpieczną, którzyby nią spokojnie i z uwagą iść chcieli. To niebezpieczeństwo mieli też obadwaj zapaśnicy na wielkiéj uwadze, bo co tylko ich siła, chytrość i zwrotność za sobą miały, było tam użytém, aby się ustrzédz tej strony, gdzie głębia swoję paszczę roztwiérała; jeden i drugi pojmował to bardzo dobrze, że raz się w tę stronę stoczywszy, już nie można było odspiewać piosnki *stocato i pojedynczo*, ale koniecznie w *duecie i ligato*. Obudwóch czekała śmierć najokropniejsza. Dla tego wszystkie starania bandyty dążyły ku temu, aby mógł wyrwać pięść swoję z kleszczów, w które się dostała; André zaś ze strony swojéj łożył na to wszystkie siły, aby zamiary bandyty nie przyszły do skutku. Prócz tego, obadwaj zawodnicy mając jednę rękę wolną, ujęli się nią za szyję tak mocno, że chociaż jeden drugiemu złamania szyi z całej duszy życzył, przecież ktoby obudwóch był zdaleka widział, zapewne byłby tego zdania, żeto są dwaj bracia, którzy po długiém niewidzeniu się serdecznie się ściskali.

Ta nieruchoma postawa trwała czas niejaki; obudwóch siły ważyły się na równéj szali; długo jeden drugiemu nie dał i na włos korzyści, aż nakoniec zbójca głodem wycieńczony chwiać się zaczął; chciał on jeszcze raz się pokrzepić, chciał zebrać wszystkie siły, na jakie tylko stać go mogło, ale jużto była wysilna ostateczność, już głowa jego, jak wierzchołek podciętego drzewa zaczęła się w tył przeważać; padł ciężko, jak dąb od wichru z korzeniem wyrwany, ale padając wziął z sobą razem i swego przeciwnika.

Ta sama walka, lecz w inném już położeniu i o inną rzecz idąca. Zbójca padając, otworzył dłoń machinalnie i upuścił sztylet, który się aż nad samę krawędź urwiska zatoczył; André chciał koniecznie dostać sztyletu ręką, bandyta zaś usiłował trącić go nogą w przepaść. Obadwaj milcząc, i nie dając żadnego znaku groźby, spoglądnęli rozpalonym wzrokiem w stronę przepaści, ku któréj się obadwaj coraz bardziéj mieli. Chociaż członki obudwóch przez zbytnie wytężenie już zupełnie potrętwiały, przecież André tyle miał jeszcze korzyści nad swoim przeciwnikiem, że go mógł jedną ręką za gardło dusić, a palcami drugiéj dotknąć się rękojeci sztyletu. Będąc tak blizko pożądanego kresu, podwoił tém bardziéj swoje usiłowanie, i zachwycił sztylet w rękę... spostrzegł to zbójca i ujrzał się zgubionym. Umrzéć wraz z wrogiem, to była piérwsza myśl jego, i zaraz wziął się ku jej wykonaniu. Nie spostrzegł André jego zamysłu, nie widział, że jedną nogą zbliżył się ku ścianie; a kiedy mu już André nad piersią sztyletem błysnął, zbójca tak silnie pchnął się z nim od skały, że André, który na nim z wierzchu leżał, ze zgrozą uczuł, iż wraz z nim w przepaść leci... Okropny wykrzyk rozległ się w powietrzu; byłoto podwójne przekléstwo dwóch ludzi, byłto podwójny, ostatni głos dwojga stworzeń, które się na wieki ze światem żegnały. Bandyta i żołnierz, nie mieli już pod sobą ziemi. (Dokończenie nastąpi.)

Z Poznania. Hrabia Edward Raczyński, odbywający w téj chwili podróż naukową po Włoszech, odkrył w archiwum byłéj rzeczypospolitej weneckiéj kilkanaście ogromnych woluminów, zawiérających relacyje posłów weneckich przy dworze niegdyś królów polskich. Między temi rękopismami znajduje się 7 tomów, obejmujących ciekawe szczegóły do panowania Jana III. Uzyskawszy pozwolenie od rządu austryjackiego uczony ten i gorliwy o dobro powszechne mąż, kazał wszystkie wspomnione rękopisma przekopijować. Hrabia Raczyński zwiédził także archiwa i księgozbiory innych miast włoskich, a mianowicie biblijotekę ambrozyjańską w Medyjolanie; spodziéwać się należy, że i tu chwalebna gorliwość obfitym plonem rzeczy dla dziejów krajowych uwieńczoną zostanie. (G. P.)

Z Warszawy. Przyjemna zapewne każdemu będzie wiadomość, że i u nas, jak za granicą, znakomitsi w zawodzie malarskim artyści, otwiérają na widok publiczny swoje pracownie, ozdobione tworami własnémi tego rodzaju, i w takim sposobie, aby zwiédzający, a osobliwie znawca mógł dostateczne miéć wyobrażenie o zdolnościach i wykształceniu malarza. Tak i pan Jan Klemens Minasowicz, nie dawno przybyły do Warszawy, po siedmletniém zwiedzaniu najznakomitszych miast Europy, przy swym talencie poświęcając się z zapałem sztuce, zebrawszy nie małą ilość rzadkich w swoim zawodzie wiadomości, otworzył pracownią swoję dla publiczności, w celu rozszérzenia dobrego gustu i korzystania z uwag znawców. Między wielu innymi w tym zbiorze odznaczają się obrazy prawdziwe piękne: Zdjęcie z krzyża i przygotowanie do pogrzebu; Scena z potopu; Narodzenie Chrystusa Pana; Tuląca gołębia; Pokusy Ŝgo Antoniego, Krajowidok wodny; obraz przedstawiający: Pracownią malarza. Inne obrazy oryginalne nie małéj wartości. W portretach z natury robionych umie pan Minasowicz trafnie pochwycić charaktery osób i oddać je z wdziękiem.

Albrycht Radziwiłł, kanclerz w. litewski, w Pamiętnikach swoich, dotąd drukiem nie ogłoszonych; przywodzi następującą anegdotę: »W r. 1641 wojewoda multański przysłał na sejm swego *czausa*, prosząc króla i rzeczpospolitę o udzielenie posiłków przeciw sułtanowi tureckiemu. Gdy *czausa* do izby sejmowéj wprowadzono i kanclérz od tronu, według zwyczaju, zapytał go się o zdrowiu i powodzeniu Cesarza Jmci tureckiego; Dziarski, Polak, tłumacz, który odpowiedź *czausa* na polskie wykładał, rzecze: »Dobrze się ma, i we wszystko z łaski Waszéj Krolewskiéj Mości obfituje.« Odpowiedź ta pobudziła króla i sejmujących do tém większego śmiéchu, że właśnie w tę porę skarb królewski nader był pusty.«

Władysław IV. w chwilach wolnych od trosek rządowych, wesołego był humoru i lubił żarty. Pewnego razu, mając jakiś interes do Albrychta Radziwiłła, wiel. kanclérza litew., kazał go przyzwać do siebie. Gdy Radziwiłł wszedł do pokoju królewskiego, rzecze do niego król: »Proszę Waszmość o audyjencyją dnia jutrzejszego.« Na uwagę Radziwiłła, że wyznaczanie audyjencyi do króla, a nie do niego należy, odpowié Władysław IV.: »Mospanie, słuszna jest, aby ten, który ma interes, prosił o audyjencyją tego, którego łaski potrzebuje.« (G.P.)

Dnia 30go kwietnia dawano w Paryżu w teatrze *Porte St. Martin* przedstawienie nowego dramatu Alexandra Dumas, pod tytułem: »Don Juan de Marana.« Widowisko to przeciągnęło się do piérwszéj godziny po północy. W ogólności rzecz podobała się publiczności, lubo zdarzony przypadek mógł był bardzo mocne zaburzenie sprawić. Aktor Bocage, który kilka razy napominany był przez publiczność, aby głośniéj mówił, tak się w końcu tém zniecierpliwił, że się odezwał do widzów: »Jestto tylko dowód złéj ku mnie chęci, gdy słyszany nie jestem, chociaż najusilniéj pragnę jak najwyraźniéj mówić.« Po tém odezwaniu się nastąpiło powszechne stukanie i świstanie, przezco pan Bocage coraz w większy gniew wpadając, wystąpił na przód sceny i tak do publiczności przemówił: »Mości panowie, już minęły te czasy, kiedy sobie pozwalano bezwzględnie znieważać aktora. Jesteśmy ludźmi jak drudzy, mamy swój honor jak drudzy!« Publiczność upamiętała się na te wyrazy, pokłosnęła nauczce pana Bocage, i nie przeszkadzała w dalszém przedstawieniu sztuki.

Pewien przenikliwym dowcipem obdarzony krytyk wyrzekł następującą prawdę w rozbiorze nowych pieśni Wiktora Hugo: »Stan literatów niegdyś był kapłaństwem, dziś stał się rzemiosłem. Uczeni 18go wieku nie gonili za szczęściem, bo szczęście samo ich szukało. Kiedy naczelnicy człowieczeństwa jeszcze na strychach mieszkali, monarchowie nawiedzali ich w ubogich izdebkach; lecz odkąd w spaniałych pałacach osiedli, lokaje tylko do nich przychodzą z litografowanémi kartami, drukowanémi dla całego świata, gdzie od upodobania to lub owo nazwisko stać może. Kiedy w ubóstwie żyli, ubiegano się o ich głos, o zdanie, lecz nieprzekupywano ich. Jeżeli dawniéj który ze znakomitych uczonych wchodził w towarzystwo wielkiego świata, byłoto zdarzeniem zmieniającem tok całéj zabawy i rozrywek, a teraz nawet żadna z kobiét i nie obejrzy się, kiedy ktoś nazwisko sławnego poety zapowié, i nikt się z miejsca nie ruszy, ani swojéj filiżanki nie porzuci, aby słyszéć wyrocznię pierwszego filozofa w narodzie. Uczeni nie powinni błyszczéć w salonach, ale wieść życie samotne, dumające. Rozum może się w wirze światowym otrzéć i ukształcić, lecz dusza w samotności tylko się rozwija; Filipiki nowoczesnych Demostenów wprawdzie nie tracą kopciem lampy i wilgocią ubogich zakątków, zato też i żadnego nie wywierają wpływu.«

Pewien młodzieniec w Paryżu, nazwiskiem Eugenijusz Baillet, w przeciągu czterech lat nauczył się czterech języków, zyskał stopień doktora, napisał mnóstwo artykułów do dzienników, trzy trajedyje, dwie komedyje, jeden dramat, i dziełko dydaktyczne, lecz w skutek tych nadzwyczajnych wysileń — umarł.

P. Braddell przedstawił akademii paryzkiéj rozprawę o nowym i najprędszym sposobie odbywania działań arytmetycznych z ułamkami. Sposób ten zależy na tém: ażeby różnicę pomiędzy mianownikiem a licznikiem każdego ułamku pomnożyć przez mianownika ułamku drugiego, a różnica między otrzymanémi z tego liczbami będzie szukanym licznikiem. Uproszczenie to rachunku ułamków nader jest pożytecznem i w wielu przypadkach znacznie robotę skraca, szczególniéj kiedy różnice pomiędzy mianownikiem a licznikiem są nieznaczące. PP. Libry i Bisson, którym poruczony był rozbiór nowego tego systematu, radzili wprowadzić go w użycie w kursach naukowych.

Biblijoteka wrocławska zawiéra 150,000 tomów i 2,300 rękopismów; sztutgartska 174,000 tom. i 1,800 rękop.; paryzka 626,000 tom. i 80,000 rękop.; londyńska 220,000 tom. i 22,000 rękop.; götingska 280,00 tom. i 5,000 rękop.; drezdeńska 260,000 tom. i 2,700 rękop.; berlińska 280,000 tom. i 5,000 rękop.; wiedeńska 284,000 tom. i 16,000 rękop.; petersburska 432,000 tom. i 15,000 rękop.; mnichowska w Bawaryi 540,000 tom. i 16,000 rękopismów. (G. K.

Pewien człowiek nazwiskiem Ludwik Brune, z Rouen, lubo nié ma więcéj nad lat 30, uratował życie 32 osobom, które były w przypadku tonienia, za co otrzymał order legii honorowéj.

Któryś angielski matematyk bardzo dokładnie wyrachował, iż daleko jest podobniéjszą do prawdy rzeczą być trzy razy uderzonym od piorunu, niż raz jeden wygrać wielki los na loteryi berlińskiéj, albo hamburskiéj, albo frankfortskiéj, co wszystko jedno.

Anglik Quin w podróży swojéj po Grecyi, opisuje, iż w Vostizza jest platan, mający najmniéj lat 2,000. Jestto najogromniéjsze drzewo w Europie, każde z jego gałęzi wyrównywa wielkiemu drzewu, i nie raz zdarzało się, iż w ostatniéj walce o niepodległość, całe greckie wojsko obozowało pod jego olbrzymim cieniem. Pień tego platanu wewnątrz jest próżny, i takiéj objętości, iż w chwili powstania częstokroć służył za więzienie stanu, mogące wiele osób pomieścić. Zwierzchność w Vostizza kazała pień ten obwieść mocnym murem, w celu ochronienia platanu od jakiego przypadkowego uszkodzenia.

W Londynie w teatrze *Haymarket* zapowiedziano komedyję: »Niech żyją koleje żelazne, czyli sztuka zbogacenia się.«

Jedna z gazet Nowéj-Szkocyi zapowiadając kwartał zimowy w ten sposób wzywa abonentów do spiesznego zapłacenia przedpłaty: »Prenumeratorowie, którzy zwykli płacić drzewem opałowém, raczą się z uiszczeniem się pospieszyć, inaczéj pomarzniemy, a tak gazetę diabli wezmą.«

P o c z ą t e k s i ł y p a r o w é j. Z pewnego listu, który sławna Marion de Lorme pod panowaniem Ludwika XIII. do margrabiego Cinqmars pisała, dowiadujemy się, iż pewien człowiek w więzieniu Bicetre trzymany przez kardynała Richelieu, odkrył, iż użycie pary gotującéj się wody może zastąpić siłę ludzką i wodną. Marion de Lorme widziała tego mniemanego szaleńca, zwiédzając więzienie w Bicetre w towarzystwie margrabi Worcester, który w Anglii uchodzi za pierwszego wynalazcę siły parowéj.

M i e s z k a ń c e K u r d y s t a n u w najwyższym stopniu są dzicy i zajadli; niczém u nich zamordować człowieka; lecz za nic w świecie nie opuściliby przeznaczonego czasu modlitwy, chociażby nawet przed chwilą bili się w meczecie. Przed parą laty dwa obwody wydały sobie wojnę o psa; 70 padło w téj bójce na placu, 30 w samym meczecie, gdzie przed chwilą razem się modlili. O tę sprzeczkę czasem dotąd się jeszcze biją. Pewien podróżny opowiada, iż poznał ich naczelnika jednookiego, który z téj przyczyny oślepł, iż mucha usiadła mu raz na oku, on ją odpędził — natrętny owad znowu powrócił, i trzeci i czwarty raz — to wprowadziło go w taką zapalczywość, że porwał za kindżał, uderzył się nim w oko, i omal życiem tego nie przypłacił.

A n e g d o t a o P o t e m k i n i e. Książę ten nie tylko płonął szaloną miłością dla księżnéj Dołhoruki, ale także namiętnie pokochał się w pięknéj Greczynce, która była za jenerałem Witem, a potem Potockiemu się dostała. Nie było nic takiego, coby nie poświęcił do przypodobania się swemu bóstwu. Między innemi opowiadają, iż aby ją nakłonić do przyjęcia przepysznego kaszemirowego szalu, wyprawił bal, na którym znajdowało się 200 dam. Po spaniałéj uczcie ciągnono loteryję, na któréj każda dama wygrywała szal kaszemirowy; a Potemkin miał się za najszczęśliwszego, że za te poniesione koszta mógł bóstwo swoje najpiękniéjszym szalem w ten sposób udarować.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.